

Moje artykuły w „Przeglądzie Edukacyjnym”



Włodzisław Kuzitowicz

Między nami wychowawcami

Redakcja „Przeglądu Edukacyjnego” zaproponowała mi napisanie cyklu artykułów, w których podejmowałbym problematykę pedagogiczną, postrzeganą okiem wychowawcy-praktyka, nie stroniącego jednak od teoretycznej refleksji. Po zastanowieniu – postanowiłem przyjąć ofertę. Oto mógłbym dołączyć do licznego już grona autorów, którzy na łamach tego kwartalnika nauczycielskiego publikują na tematy jakże złożonej i różnorodnej działalności wychowawczej szkół, przedszkoli i innych placówek oświatowo-wychowawczych. Włączywszy się w ten nurt ze swymi przemyśleniami i doświadczeniami – mógłbym, wraz z nimi, zagospodarować ofiarowany przez Redakcję „kącik wychowawcy”.

Ze swojej strony deklaruję, że będę pisał także i o tym wszystkim, o czym najczęściej my – wychowawcy nie mamy czasu rozmawiać ze sobą. Będę nakłaniać Czytelników do refleksji nad ich własną działalnością, do zadawania niepopularnych pytań, do poszukiwania niekoniumkturalnych na nie odpowiedzi. Może uda mi się nawet sprowokować kogoś do tego, aby wyskoczył z wygodnych torów rutyny, przebił się w głąb istoty spraw, rozrywając bezpieczną powierzchnię rzeczy. A gdyby jeszcze udało się zachęcić szersze grono Kole-

żanek i Kolegów, abyśmy wspólnie zajrzeli za fasady i kulisy szkolnej codzienności, spojrzeli oświatowej prawdzie w oczy – nie po to, by po raz kolejny ponarżać, że „król jest nagi”, lecz by podjąć trud zmiany – nie „w ogóle”, – lecz „tu i teraz”, na swoim podwórku, by odczuć smak radości tworzenia, odkrywania...

Pragnę, aby cykl „Między nami wychowawcami” stał się publicystycznym forum, na którym będą spotykać się wszyscy, którzy pracując w szkole lub innej placówce oświatowo-wychowawczej, mają ambicje być czymś więcej niż „subiektem” w tym sklepie z wiedzą, czymś więcej niż „ekonomem”, egzekwującym na tym feudalnym poletku odrabianie pańszczyzny (czytaj: odrabianie lekcji...). Będą mogli spotkać się tu wszyscy nauczyciele, którym znudziło się życie biernego realizatora odgórnie opracowanych programów kształcenia, które – jak szyny tramwajowe – ograniczają wprawdzie swobodę poruszania się, ale też i zwalniają od ryzyka decyzji dotyczącej wyboru drogi.

Zyczylbym, nie tylko sobie, aby było to miejsce doładowywania akumulatorów woli i motywacji, odnajdywania w sobie siły, płynącej z przeświadczenia, że nie jestem sam, że podobnie myślących jest wielu, że razem czegoś dokonamy...

Sądzę, iż jest szansa na to, że prądy, które tu wzbudzimy, „namagnesują” coraz większą liczbę nauczycieli, aby zaczęli roztaczać wokół siebie to magiczne pole, które powoduje, że uczeń nas słucha, że za nami podąża, że otrząsa się z bierności, by w końcu, jak wyczepiony szybowiec – dalej już samodzielnie kreować swe życie...

Zatem siadam do pisania i podejmuję próbę rozszyfrowania „tajemnicy”: „Co stanowi o klęsce, a co o sukcesie wychowawcy”.

Włodzisław Kuzitowicz

Dyrektor Zespołu Szkół Budowlanych Nr 2 w Łodzi

*Włodzisław Kuzitowicz***Co stanowi
o klęsce,
a co o sukcesie
wychowawcy ?**

Nie ma chyba człowieka, który pragnąłby ponieść porażki, którego nie interesowałoby odnoszenie sukcesów. Dążenie do powodzenia, pomyślnego (a więc „po mojej myśli”) zakończenia dzieła – to przejaw naturalnej potrzeby psychicznej – potrzeby uznania, szacunku, znaczenia... To także naturalna nagroda za poniesione trudy i wysiłek włożony w pracę – tym bardziej ceniona, im bardziej niewystarczające są inne materialne formy grytyfikacji. W pracy nauczyciela-wychowawcy poczucie sukcesu, powodzenia, pomyślnego skutku podejmowanych działań stanowi często o sensie wykonywania tego zawodu.

Jednocześnie często spotkać się można z przekonaniem, że jest to profesja niewdzięczna, że jej owoce dojrzewają po wielu latach, a nawet – że jest to „szyfrowa praca”. Jak jest

w rzeczywistości? Czy w wychowaniu można odnosić sukcesy? I co to właściwie znaczy „sukces wychowawczy”?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy wyjść nie tylko od definicji sukcesu („udanie się czegoś, pomyślny wynik jakiegoś przedsięwzięcia, powodzenie, triumf”), lecz przede wszystkim od określenia charakteru działań nazywanych wychowawczymi. Mając do dyspozycji wiele sposobów pojmowania pracy wychowawczej: od urabiania, modelowania osobowości wychowanka „na obraz i podobieństwo”, ustanowionego „jedynego słusznego ideału wychowawczego” – aż do poglądu antypedagogów – odrzucających w ogóle wszelką świadomą, zewnętrzną ingerencję w rozwój innej jednostki – myślę, że po odrzuceniu skrajności, moglibyśmy zgodzić się na „centro-liberalną” definicję, która wychowaniem nazywa wszelką świadomie podejmowaną przez wychowawcę działalność, której celem jest stworzenie wychowankom warunków, zachęt i motywacji do takiego rozwoju ich osobowości, aby sterowana przez nią aktywność mogła prowadzić do ich powodzenia życiowego, nie osiąganego kosztem dobra innych ludzi. Przy takim założeniu można powiedzieć, że sukcesem wychowawcy jest sukces życiowy wychowanka. Jednak częściej mamy do czynienia z „programem minimum” – niektórzy przyjmują za swój sukces brak porażki. W ostatecznym rachunku wszystko zależy od celu, jaki stawia sobie wychowawca. Problem ten podjął też Julian Radziewicz w swojej książce „Funkcje wychowawcy klasy”^{*}. Opierając się na zgromadzonym obszernym materiale empirycznym, wyodrębnił 5 kategorii definicji porażki i sukcesu wychowawczego.

Na pierwszym miejscu w obu przypadkach znalazły się tam

^{*} J. Radziewicz: *Funkcje wychowawcy klasy*, WSiP 1981, s.135-140.

PREZENTACJE

zapisy określające sukces lub porażkę jako osiągnięcie bądź nieosiągnięcie zamierzonego celu. Tak więc wyłącznie od subiektywnego podejścia wychowawcy zależy będzie poziom satysfakcji z jego osiągnięć. Jeżeli wychowawca za cel swojej pracy ustanawia uzyskanie określonych zachowań uczniów, przestrzeganie zawartych w regulaminach nakazów i zakazów – to osiągnięcie tych właśnie celów może mu dostarczyć poczucia sukcesu. Sukcesem będzie także wysoka frekwencja uczniów, dobre wskaźniki średnich ocen, wstawanie uczniów przy odpowiedzi, wyjmowanie rąk z kieszeni czy chodzenie po szkole w przepisowym obuwia. Inni z wychowawców uznają za swój sukces zdobycie przez ich uczniów wysokich lokat w olimpiadach i konkursach przedmiotowych, dostanie się możliwie wielu absolwentów do renomowanych szkół średnich i wyższych, a także puchary, nagrody i dyplomy zdobywane przez uczniów na zawodach sportowych, licznych konkursach, przeglądach artystycznych itp. Ale bywają i tacy wychowawcy, którzy widzą w tych wszystkich osiągnięciach głównie efekt pozytywnego zbiegu wielu okoliczności, z których najmniej sprawczym mógł się okazać ich wpływ osobisty. Bo też czy sukces ucznia jest zawsze i wyłącznie zasługą jego wychowawcy?

Właściwą proporcję rzeczy całej nada może tej sprawie takie podejście, które bez przesadnej megalomanii – postawi wychowawcę bardziej w roli trenera, może reżysera, ale nie kreatora – wyłącznego sprawcy.

Jeśli sukces ma wielu ojców, to klęska bywa sierotą. Jak że często zdarza się też tak, że wychowawca rozgrzesza się ze wszystkich niepowodzeń, usprawiedliwiając je „czynnikami obiektywnymi”, złym wpływem środowiska czy „kiepskim materiałem ludzkim”, z jakim przyszło mu pracować. Myślę, że trzeba się na coś zdecydować. Albo przypisujemy sobie główną siłę sprawczą – i wtedy to my odpowiadamy za sukcesy i porażki, albo też dzielimy się sławą i niesławą z innymi podmiotami, mającymi mniejszy lub większy wpływ na osiągnięcie (lub nie) założonych celów wychowawczych.

Można więc chyba powiedzieć, że o klęsce lub sukcesie

wychowawcy w największym stopniu stanowi on sam. Po pierwsze – bo to on określa cele. Po drugie – bo to on odpowiada za „temperaturę” i siłę więzi z wychowankiem, po trzecie – bo to on jednak jest w głównej mierze sterownikiem łódki, na której wypływa ze swymi wychowankami na morza i ocean życia...

Przeanalizujmy dokładniej sens tych trzech argumentów. Czy sukces lub porażka zależy od stawianych celów? Tak. Bo cel nieokreślony, górnolotny i ogólnikowy w praktyce nigdy nie może zostać osiągnięty. Tak – bo cel zbyt ambitny, pozostający w jawnej sprzeczności z możliwościami wychowanków też nie ma szans na to, aby został osiągnięty. Pragnąc zrealizować radość w swej pracy wychowawczej, musimy operacjonalizować cele w takim stopniu, aby dało się z nich rozliczyć konkretnie, tu i teraz, w perspektywie czasu, jaki jest nam dany (niekoniecznie na zjeździe absolwentów szkoły – po 25 latach).

Czy sukces lub porażka zależy od jakości naszej więzi z wychowankiem? Tak, bo tylko wtedy, gdy między mną a moim uczniem istnieje „most życzliwości”, gdy łączy nas więź sympatii, zrozumienia i zaufania, możliwe są jakiegokolwiek oddziaływania – w tym zwłaszcza nasz wpływ na postawy, system wartości czy mechanizmy motywacyjne wychowanków.

Czy sukces lub porażka zależy od naszych kwalifikacji organizatora sytuacji wychowawczej? Tak, bo na nas spoczywa obowiązek nie tylko „uwiedzenia” naszych wychowanków, aby zechcieli wraz z nami wyruszyć w rejs „ku dojrzałości”, lecz przede wszystkim to my uczymy ich, jak pokonywać trudności, omijać rafy i mielizny, jak czasem płynąć pod wiatr – i mimo wszystko dopłynąć do portu przeznaczenia. I wtedy wspólnie razem – jak dobra, żyta załoga będziemy mogli świętować sukces. Wychowawca – kapitanem w rejsie od dzieciństwa ku dorosłości.

Jak być dobrym kapitanem – o tym w kolejnym odcinku...

Włodzisław Kuzitowicz
Dyrektor Zesp. Szk. Budowl. Nr 2 w Łodzi

Włodzisław Kuzitowicz

Wychowawca kapitanem w rejsie do dorosłości

Ta żeglarska metafora jest w dużym stopniu chwytym retorycznym, jednak posłużyłem się nią nie bez przyczyny. Powodem jest chęć odwołania się do licznych stereotypów, jakie potocznie funkcjonują w masowej wyobraźni w sferze, nazwijmy ją „marnistycznej”. Przypomnę, że nasze rozważania mają swój początek w trzech odpowiedziach na pytanie: „Co stanowi o klęsce, a co o sukcesie wychowawcy?”. W moim przekonaniu tym czynnikiem sprawczym jest sam wychowawca: bo to on określa cele, bo to on odpowiada za rodzaj więzi z wychowankami, bo to on jest reżyserem organizowanych „ciągów zdarzeń” – zwanych sytuacjami wychowawczymi. Ta ostatnia okoliczność, sprowadzona do czynności „organizatorskich” – to właśnie ta metafora: wychowawca – kapitanem w rejsie ku dorosłości (czytaj: dojrzałości). Pozostaje jeszcze precyzyjne określenie roli wychowanków, znajdujących się na tej „jednostce pływającej”.

Nie jest moim celem przywoływanie przed „oczy wyobraźni” osiemnastowiecznej brygantyny, której ładownie wypełnione były niewolnikami, przewożonymi z Czarnego Łądu na amerykańskie plantacje bawełny. Bo też nasz wychowanek nie jest dziś przez nas traktowany jak towar – bierny przedmiot, który został nam powierzony i którego mamy dostarczyć (często nie bez strat, ubytków) do portu przeznaczenia. Nie jest także użytecznym dla moich zamierzeń obraz luksusowego promu pasażerskiego, pływającego hotelu, którego załoga z kapitanem na czele – koncentruje się nie tylko na bezpieczeństwie powierzonych jej pieczy pasażerów, lecz dąży do możliwie pełnego zaspokojenia ich potrzeb, oczekiwań, „zachcianek”... Nie jest tak, gdyż współcześnie wychowanek nie może być traktowany jako konsument, jako choćby najtroskliwiej obsługiwany – lecz nie mający na niego wpływu – pasażer. Moja metafora dotyczy „szkoły pod żaglami”. Celem kapitana jest w tym przypadku nie tylko zapewnienie bezpieczeństwa czy dotarcie do portu przeznaczenia, ale przede wszystkim przekazanie uczestnikom rejsu całej swej wiedzy i wszystkich umiejętności, i to w taki sposób, by możliwie każdy z nich mógł w przyszłości samodzielnie żeglować „po morzach i oceanach życia”...

Wychowawca – w tym wychowawca klasy w szkole, a w jeszcze większym stopniu wychowawca w bursie lub domu dziecka – może być postrzegany właśnie w takiej roli – kapitana w szkoleniowym rejsie ku dorosłości...

Jak być dobrym kapitanem? Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, wyobraźmy sobie, że to my trafiliśmy na taki statek. W dodatku jest to zagłowiec, a my nigdy przedtem nie mieliśmy z morzem nic wspólnego... Boimy się nieznanego żywiołu, lecz jednocześnie zaciekawia nas i pobudza nasze ambicje owiana romantyczną legendą wizja morskiej przygody... Kogo pragnęlibyśmy tam spotkać? Wcho-

PREZENTACJE

dzimy po trupie na pokład, a tu... wita nas wrzaskliwy olbrzym, od progu zapowiadający, że „on nas... on z nami...” i tak dalej, i temu podobne... A dalej – to już dzień za dniem: rozkazy, przeglądy, służby poza kolejnością, szorowanie, malowanie, itp., itd., „Ja was nauczę... ja wam pokażę... nie myślcie sobie, że...”

Rejs się skończył, my opuszczamy pokład bogatsi o wiele różnych, nawet pożytecznych umiejętności... Tylko nadal nie potrafimy nic z tego, co nazywa się nawigacją, a na dodatek – odarci z naszego pierwotnego romantyzmu i skutecznie zniechęceni do żeglarskiego rzemiosła.

A gdyby spotkał nas inny kapitan? Taki – o nienagannych manierach: regulaminowy mundur, wygolona twarz i eleganckie okulary, spoza których krytycznym spojrzeniem intelektualisty-eksperta chłodno szacuje stopień naszej ignorancji? Mówi cicho, starannie dobierając słowa... A tych słów jest dużo, coraz więcej... obco brzmiących, jak zaklęcia szamana. I nieustannie poddaje nas testom, sprawdzianom, egzaminom... I wykazuje nam, że daleko nam do jego mistrzostwa. I coś z tego, że zaraz dodaje, że mu przykro, ale... Opuszczamy statek z poczuciem ulgi, głęboko przekonani, że żeglowanie – to sztuka dla wybranych... a my po prostu się do tego nie nadajemy.

Pora wyobrazić sobie naszego kapitana po raz trzeci. Może przywita nas jeszcze na nabrzeżu – podejdzie, poda rękę w silnym, budzącym zaufanie uścisku. Uśmiechnie się szeroko i powie: „Witajcie! Cieszę się, że będziemy razem. Poznajmy się...” I będziemy się poznawali. On nas – nie tylko po nazwisku. Jesteśmy dla niego Tomkiem, Agnieszka, Zbyskiem... On dla nas – nie tylko dowódcą, szefem, przełożonym – także opiekunem, doradcą, powiernikiem...

Wypływamy. Pierwsze komendy: „cumy rzuc”... Jest zdecydowany, kompetentny, stanowczy, ale jednocześnie cierpliwy, wyrozumiały, przystępny. Gdy dostrzeże nasze błędy – nie ośmiesza, nie poniża – po prostu poprawia, instruuje, pokazuje nam, jak to powinno być zrobione. Wspomina, jak to on był początkującym jungą, że też na pierwszym rejsie miał chorobę morską, że pomylił kluzę z bulajem, że... Ośmieleni próbujemy: ostrożnie, jeszcze nieporadnie, ale samodzielnie... Udało się! Wspaniale! – kwituje nasze wysiłki. Jest zawsze obok nas – ale nie nad nami. Gdy nadchodzi sztorm – jego spokój i pewność siebie udzielają się wszystkim. Widzimy, że zna swe rzemiosło, że wyprowadzi nas na spokojne wody, że jesteśmy z nim bezpieczni. Wtedy też ślepo, bez dyskusji, wykonujemy wszystkie jego rozkazy. Ufamy mu. A potem – wielka zabawa: morski chrzest... Kapitan przebrany za Neptuna – bez czapki i munduru – ale nadal to jest KTOS. I tak, niepostrzeżenie – nasz rejs dobiegł końca... Zdajemy egzamin, otrzymujemy patent... Kapitan wręcza nam dokument. Mówi do nas: „kolego” Gratulacje. Poczucie dumy. Pożegnania...

Gdy za kilka lub kilkanaście lat, na jakimś morzu przetną się kursy naszych statków, gdy spotykamy się w obcym porcie powitamy się radośnie i serdecznie: my – jego – bo zawsze będzie naszym mistrzem; on – nas – bo jesteśmy potwierdzeniem sensu jego pracy. Jak być dobrym kapitanem w rejsie od dzieciństwa ku dorosłości? – Takim. Właśnie takim...

Włodzisław Kautonicz
Dyrektor Zesp. Szkół Budowlanych
Nr 2 w Łodzi